

MICHAŁ ZIELIŃSKI

ur. 1949; Lublin



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	„Miesiące”, „Solidarność” (1980-1989), Region Środkowo-Wschodni NSZZ „Solidarność”, niezależny ruch wydawniczy, opozycja w PRL, życie polityczne, sytuacja gospodarcza

Pomysł na profil pisma „Miesiące” w szczególnych okolicznościach polityczno-gospodarczych

Jeżeli chodzi o to, jak pismo [„Miesiące”] miało wyglądać, to tutaj były dobre wzorce dwóch pism, jak mawiają bracia Rosjanie „tołstych żurnali”, czyli miesięczników w formie książki, zeszytowych, mianowicie „Więzi” i „Znak”. Obydwa zresztą [były] trudno dostępne, kupowane najczęściej spod lady, pożyczane i tak dalej. Te wzorce, które istniały, same się nasuwały, może z dwiema drobnymi różnicami. Po pierwsze, i „Znak”, i „Więź” to były jednak pisma debitowe, czyli wydawane poprzez cenzurę, a więc z tą cenzurą muszące się liczyć. Po drugie, muszące się także liczyć z niebezpieczeństwem odebrania owego debitu, czyli prawa kolportażu. Ponieważ były wydawane przez ugrupowania katolickie, Kluby Inteligencji Katolickiej, środowisko krakowskie, to musiały jako pisma mieć charakter religijno-społeczny. To znaczy w tych pismach było oczywiście sporo o historii, zwłaszcza najnowszej, o socjologii czy ekonomii, ale to nie mogło jednak przekraczać pewnej proporcji, pewnej części numeru, bo wtedy Urząd Kontroli Prasy i wszystkie stosowne władze otrzymywały do ręki argument, [by powiedzieć]: „mieliście, jako instytucja w gruncie rzeczy społeczno-religijna, wydawać pismo o charakterze religijnym, a tu wydajecie jakiś periodyk polityczny”.

My od początku chcieliśmy wydawać pismo społeczno-polityczne, które oczywiście nie miało zamiaru stronić od problematyki religijnej, zwłaszcza że to był początek pontyfikatu polskiego papieża, [wydane zostały] jego słynne encykliki społeczne, więc to się dosyć mocno splatało, ale proporcje byłyby zupełnie inne. [Poza tym pismo] mogło wychodzić poza cenzurą, [co] stwarzało pewne dodatkowe szanse. Dodatkowe, ale nie za wielkie, bo cenzury nie było, ale była bardzo ciężka sytuacja polityczna i codziennie, zwłaszcza w „Trybunie Ludu” i „Żołnierzu Wolności”, ukazywały się jakieś oświadczenia, jeżeli nie Biura Politycznego Komunistycznej

Partii Związku Radzieckiego, to przynajmniej agencji TASS, mówiące o tym, że w Polsce dokonywała się kontrrewolucja, że trzeba było zrobić z tym porządek. Dokładnie takie same teksty nadawane [były] przez Czechów czy Niemców. Co więcej, pokazywały się w prasie tamtych państw teksty, w których opisywano jakieś niesamowite zbrodnie – a to dewastację cmentarzy radzieckich, a to postępowanie symboli internacjonalistycznego ruchu robotniczego. To oczywiście wszystko było albo nieprawdą, albo dotyczyło jakichś pojedynczych ekscesów, będących najczęściej po prostu prowokacją Służby Bezpieczeństwa, ale oczywiście tworzyło to taki polityczny klimat i my mieliśmy pełną świadomość, że w każdej chwili możliwa jest ingerencja militarna „przyjaciół”, którzy tutaj z braterską pomocą przybędą. Mówiłem o tym języku kodów, o tej możliwości błyskawicznego porozumiewania się bez zbyt wielu słów – dla nas wszystkich, jak byliśmy w około dziesięć osób w tej redakcji, było oczywiste, że istniały pewne granice, których nie wolno [było] nam przekroczyć, nie wolno nam podgrzewać sytuacji, nie wolno nam prowokować. Więc cenzury jako takiej nie mieliśmy, ale rodzaj autocenzury musiał istnieć.

Drugi, chociaż może trochę mniej ważny czynnik autocenzury, który nad nami wisi, [dotyczył tego], że – znowu bez zbędnych słów – wszyscy wiedzieliśmy i wszyscy zgodziliśmy się z tym, że oto Polska stanęła przed wielką szansą, być może przez lata nie do powtórzenia, wyrwania większego obszaru swobody i przeprowadzenia pewnych reform, które by ową swobodę jakoś utrwaliły. Wiedzieliśmy, że jedyną możliwością na [osiągnięcie tego] było to, że nie damy się podzielić, że Związek będzie występował jako jedna siła. Oczywiście władza też o tym wiedziała i starała się zrobić wszystko, co było w jej mocy, aby Związek rozczłonkować. Były spory o to, czy mogą istnieć zarządy regionów, czy tylko organizacje zakładowe na poziomie zakładów, oraz tworzenie jakichś konkurencyjnych związków. Z tego powodu mieliśmy świadomość, że musimy pewne różnice tonować, dyskusje w pewnych sprawach odkładać na czas późniejszy, bo wtedy nie była to dobra pora.

Trzecia rzecz, która też nam od początku przyświecała, [była taka, że] zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że ta walka będzie bardzo trudna, że ona nie może zakończyć się całkowitym zwycięstwem, że w gruncie rzeczy zwycięstwem [będzie] coś zbliżonego do remisu czy nawet nieznaczna porażka, czyli każda zmiana, która sytuację społeczną w Polsce poprawi. Wobec tego poszukiwaliśmy takich rozwiązań, które wydawały się mieć choć cień szansy powodzenia, choć cień szansy realności, choć cień szansy na to, że władza to zaaprobuje. Była to oczywiście kwadratura koła i myśmy wtedy też to wiedzieli. I to akurat wiązało się z tą działką, którą ja miałem w „Miesiącach” się zajmować, która [łączyła] się z moimi zawodowymi możliwościami. Sytuacja gospodarcza w każdym wymiarze w [latach] 1980 i 1981 była katastrofalna. Był to moment, w którym ewidentnie dla każdego stało się jasne, że system gospodarki centralnego planowania, nakazowej i nierynkowej zrobił się totalnie nieefektywny, zupełnie nie odpowiadał wymogom współczesności i prowadził do wielkiej katastrofy gospodarczej. O tym wiedzieli wszyscy, od co mniej betonowych

funkcjonariuszy partyjnych po nawet chyba takich zwykłych, szarych, przeciętnych, niepasjonujących się gospodarką ludzi. A więc oczywiste było, że w pakiecie reform, które się w Polsce powinny dokonać, reformy gospodarcze musiały zajmować jedno z podstawowych, jeśli nie podstawowe miejsce. Ówczesną sytuację gospodarczą charakteryzowała totalna nierównowaga. Gospodarka socjalistyczna – wiemy z takiego ładnego określenia węgierskiego ekonomisty Jánosa Kornaiego – to była gospodarka niedoborów i zawsze czegoś brakowało w mniejszym czy większym stopniu. Otóż te przejściowe niedobory różnych rzeczy pod koniec lat siedemdziesiątych zamieniły się praktycznie w totalny niedobór wszystkiego. Może trzeba przypominać, bo to niewyobrażalne, ale poranna wyprawa po najprostsze produkty na śniadanie typu bułka, mleko, ewentualnie gazeta – już nie mówię, że taka ciekawsza, czyli „Gazeta Krakowska” czy „Życie Warszawy”, ale na przykład lokalna gazeta – pochłaniała trzy czy cztery godziny. Nie mówię o papierosach, bo przecież te były towarem w ogóle niedostępnym; kupno przez milicjanta bez kolejki kilku paczek papierosów w bufecie dworcowym na stacji Otwock mało nie [doprowadziło] do wojny. Zrobienie takich podstawowych zakupów pochłaniało [kilka godzin] i aż dziwne może się wydawać, że w sytuacji, w której ludzie tyle czasu musieli poświęcać na najprostsze czynności życiowe, mieli [oni] czas, siłę i chęć zajmować się tą rewolucją. Dla każdego jako tako orientującego się w gospodarce wiadomą rzeczą było to, że przywrócenie równowagi na rynku, a bez tego normalne funkcjonowanie gospodarki jest niemożliwe, będzie musiało oznaczać urealnienie pewnych parametrów rynku, czyli podwyżkę płac, bo raczej obniżka [cen] nominalnych w rachubę nie wchodziła. [Obniżka cen] nie pogarszałaby sytuacji, bo jak nie ma mięsa, to wszystko jedno, czy go nie ma w cenie pięćset złotych za kilogram, czy trzysta – nie ma i się nie je. Ale przynajmniej w kategoriach psychicznych wywoływałaby negatywną reakcję społeczną. I to tworzyło pewną szansę, my przynajmniej dostrzegaliśmy wtedy taką szansę: ponieważ władza będzie musiała przeprowadzić tę akcję równoważenia rynku, to być może będzie skłonna do zawarcia pewnego traktatu społecznego, w którym ona rezygnuje z części swoich uprawnień, po prostu wyrzeka się, czy oddaje jakiś ułamek swojej władzy, a za to związek zawodowy będzie nawoływał społeczeństwo do wyrzeczeń i do poniesienia tych kosztów w postaci wyższych cen. Oczywiście takie rozumowanie bazowało na przypuszczeniu, że władzy zależy nie tylko na tym, żeby być władzą, ale także by tę władzę sprawować we w miarę komfortowych warunkach, jeśli nie przy aprobacie, to przynajmniej przy braku jawnej wrogości społecznej. To się okazało myślenie życzeniowe – władzy zależało przede wszystkim na władzy, a to, czy półki będą pełne czy całkiem puste nie miało dla niej praktycznie żadnego znaczenia. Ale to pokazuje skalę naszych wyborów. Myśmy zdawali sobie sprawę, że jeżeli szansa istniała, to była stosunkowo niewielka – innej nie było, a na coś trzeba było grać.

Data i miejsce nagrania	2005-06-30, Lublin
Rozmawiał/a	Piotr Choroś
Transkrypcja	Beata Sobytkowska, Piotr Krotofil
Redakcja	Piotr Krotofil
Prawa	Copyright © Ośrodek „Brama Grodzka - Teatr NN”